

## Joanna Siedlecka: Zmora. Książowa Ada

Uznano, że to wstyd i hańba – Witkiewicz, syn Stanisława, w carskim pułku, pod carskim sztandarem! Wuj Stach liczył podobno, że mimo wojny i frontu jego syn – przy pomocy mamy i Gradzika – wydostanie się jakoś z Rosji i wstąpi do Legionów wuja Ziuka – pisze Joanna Siedlecka w książce „Mahatma Witkac”.

Czesław Miłosz do Aleksandra Wata o Witkacym w Rosji:  
*Kiedy przyjechał z Australii do Petersburga w czasie wojny,  
to zdaje się tam jakichś krewnych znalazł, bardzo ustosunkowanych.*

„Mój wiek”, Warszawa 1990

Generałowa Jadwiga Sosnkowska ma 90 lat (rocznik 1901), [...] nie jest już oczywiście w formie idealnej[1]. Ale gdy czuje się lepiej, ma dobry dzień – świetnie się nam rozmawia. Od dawna wpadam wtedy do niej na pogawędkę do domu zasłużonego, zbawidowskiego kombatanta, gdzie zamieszkała po powrocie do Polski. Pamięta bowiem sprawy fascynujące, chociażby wciąż mało znany i zagadkowy pobyt Witkacego w Rosji, w carskiej armii.

Witkacy, to znaczy syn wuja Stacha, jak go nazywa, jest bowiem kuzynem generałowej. Jej matka, czyli Ada Żukowska z domu Jałowiecka była jego cioteczną siostrą – córką Anieli Jałowieckiej z domu Witkiewicz – siostry Stanisława Witkiewicza ojca.

I właśnie syn wuja Stacha przychodził do jej rodziców po przyjeździe z Australii do Petersburga. Do ich mieszkania na Ligowskiej dwadcać piąt', w samym centrum Pitra – w końcu Newskiego Prospektu, na rogu Gusiew Pierieułok. Do wielkiej, ośmiopiętrowej kamienicy typowej dla Pitra; ciężkiej od ozdób, w stylu, jak się mówiło, Katarzyny i Piotra. Do siedmiopokojowego wytwornego mieszkania – mama wynajęła dwa obok siebie, przebiła ściany, pięknie umeblowała – miała gust i wielu znajomych malarzy, artystów – prowadziła przecież salon, gdzie bywali wszyscy, którzy się wśród Polonii petersburskiej liczyli, chociażby książe Drucki-Lubecki, profesor Baudouin de Courtenay, a także, podczas pobytów w Pitrze, sam Dmowski, Grabski, Paderewski, młodziutka jeszcze wtedy Ada Sari.

Na stałe zatrzymał się u babuni i dziadunia Jałowieckich, czyli u swojej ciotki i wuja. Niedaleko Ligowskiej, bo na Nadieżdinskiej tri – pięknej ulicy z porządnymi kamienicami, ogrodami. Dziaduniowie też mieli duże mieszkanie, choć mniejsze niż jej rodzice, którzy ze względu na ojca musieli prowadzić dom otwarty. Nie wiadomo, czy te domy na Ligowskiej i Nadieżdinskiej jeszcze stoją, nigdy już, niestety, później w Pitrze nie była, ale po rosyjsku mówi do dziś.

Oczywiście, pamięta syna wuja Stacha głównie z rodzinnych przekazów – rozmów rodziców, dziaduniów, cioki (jak się mówiło w rodzinie) Żeni – jednej z sióstr wuja Stacha, szalenie do niego podobnej, szczególnie na starość, która też w Pitrze mieszkała.

Choć sama ma go również przed oczyma – przyjechał do Pitra, gdy wybuchła I wojna, to znaczy w 1914, miała więc już trzynaście lat. Widywała go zresztą i wcześniej – na wakacjach w Syługudyszkach na Litwie, majątku dziaduniów, oraz w Zakopanem, gdzie bywała co roku, wracając z Krakowa – mama woziła ją i siostrę na egzaminy do szkoły urszulanek, której program przerabiały w domu. Wysoki, dobrze zbudowany, o prostym witkiewiczowskim nosie i w ogóle delikatnych w tej rodzinie rysach, przenikliwych oczach.

Nie tak pięknych jednak jak szafirowe oczy wuja Stacha, którego widziała w Zakopanem jako małą dziewczynka i – słowo honoru – też pamięta, choć już jak przez mgłę. Masa włosów, wspaniałe zęby, miły, serdeczny głos.

Nie tylko ona, ale i Lula, czyli młodsza siostra, nie lubiły jego syna chyba „od zawsze”. Słyszały bowiem od rodziców oraz dziaduniów, że to przez niego popełniła samobójstwo zaręczona z nim wartościowa panna Jadwiga Janczewska! Wywołało to podobno w Zakopanem tyle plotek i oburzenia, że jego przyjaciel, Bronio Malinowski, musiał zabrać go ze sobą do Australii. Słyszały też, że był w konflikcie ze swoim ojcem, czyli wujem Stachem, którego wszyscy w rodzinie ubóstwiali i szanowali, uważali za większego od Matejki, a już szczególnie jego

siostry: Mery, Żenią i właśnie Aniela Jałowiecka, czyli babunia, która odwiedzała go w Zakopanem, wspomagała finansowo, a „Na przełęczy” znała niemal na pamięć.

I ona, i Lula też za nim przepadały – bardzo je kochał, były przecież wnuczkami jego ukochanej siostry. Choć właściwie znały go głównie z opowiadań oraz listów pisanych do babuni, w których nie zapomniał nigdy pozdrowić Luluni oraz Kukusi – rosyjska niania nazwała ją Kukołką i została już Kuką do końca życia. W kilku listach przesłał, specjalnie dla nich, przepiękne góralskie historie.

\*\*\*

Syn wuja Stacha przyjechał podobno z Australii do Pitra, żeby – tak jak wtedy wszyscy – wziąć udział w wojnie, wstąpić do wojska i bić się z Niemcami, u boku Rosji. Ale to trwało, bo to się jeszcze zastanawiał, to brakowało mu potrzebnych dokumentów. W rezultacie musiał czekać, miał więc sporo czasu, którego bynajmniej nie marnował. Wszedł od razu w petersburskie towarzystwo, gdzie był podobno bardzo *brillant*. Natychmiast otoczył się paniami, z tym że oczywiście – jak podsłuchały z Lulą – samymi wampami i wydrami. Zaczął też podobno, w Pitrze właśnie, kokainizować się, co wchodziło akurat w modę.

Ani u nich, ani u dziaduniów zupełnie nie był jednak *brillant*. Wręcz przeciwnie – plótł głupstwa lub nawet świństwa, a najczęściej godzinami siedział w fotelu i czytał, dumał nie wiadomo o czym. Albo też snuł się po pokojach niczym zmora, jak nazwał go kiedyś Gradzik,

czyli ojciec, i tak już zostało. Bo rzeczywiście przypominał zmore – ponury, zmienny w nastrojach, przewrażliwiony, a bardzo często też przykry, impertynencki nawet.

Szczególnie właśnie wobec niej i Luli. „Zabierz te idiotki z kokardami!” – krzyczał histerycznie do mamy, gdy głośniej się zachowywały lub miał dość ich błagań: „Stasiu, zrób minę, przebierz się za górala”.

Choć był rzeczywiście w tym niezrównany, dawał się ubłagać tylko wtedy, gdy miał lepszy humor. Trochę wówczas rysował, straszył je opowieściami o duchach i wampirach, recytował po rosyjsku, którego szybko się nauczył i wręcz się nim delectował – najczęściej były to, zdaje się, wiersze Tiutczewa:

*Umom Rossiju nie poniat'  
Arszinom obszczim nie izmierit':  
U niej osobiennaja stat' -  
W Rossiju można tolko wierit'!*

Albo też Lermontowa:

*Proszczaj niemytaja Rossija,  
Strana rabow, strana gospod,  
I wy, mundury gołubyje,  
I ty, posłusznyj im narod.*

\*\*\*

Mimo to mama, było nie było, jego cioteczna siostra, bardzo go lubiła, wierzyła, że się zmieni, wydorosleje, miała dla niego masę cierpliwości. Głównie oczywiście ze względu na wuja Stacha, którego ubóstwiała, oraz rodzinną solidarność, bardzo dla niej ważną: jej „świecę i wosk”, jak zawsze powtarzała[2].

Gradzik natomiast tolerował go wyłącznie ze względu na mamę, która łagodziła ich wzajemne stosunki, gdy tylko mogła, ale jak mówiono w Pitrze – *na siłu miłu nie budiet!*. Zabronił mu wstępu do swego gabinetu, rzadko z nim rozmawiał, a kiedyś nawet ryknął na niego i wreszcie trochę utemperował. – Chcesz trwać w swoim chamstwie, to trwaj, proszę bardzo! – krzyknął ostro i wyszedł z pokoju. Prosił potem mamę, żeby podawano tej zmorze obiad trochę wcześniej – nie chciał razem z nią jadać. Drażniła go, działała mu na nerwy, a unikał w domu spieć.

Zbyttno się po prostu od siebie różnili. Gradzik był seriozny, pracowity, wymagający od siebie i innych, tradycyjny w gustach – czytywał głównie Żeromskiego i Sienkiewicza. Prawnik z wykształcenia, ale tak naprawdę – przemysłowiec, człowiek interesu, z którym Rosjanie bardzo się liczyli. Współpracował z nimi, musiał więc przyjmować ich w domu, bywać u nich, za co wielu Polaków miało do niego pretensje, nazywało Moskałem, kolaborantem, co było oczywiście wielką obelgą. Uważał tymczasem, że dość już bezsensownych, wykrwawiających Polskę powstań, geopolityka skazuje nas na pokojowe stosunki z Rosjanami. Dlatego właśnie został posłem do Dumy, parlamentu rosyjskiego imperium. Działał też społecznie, szczególnie wśród polskich studentów. Kupił nawet dla nich kamienicę na tak zwane polskie ognisko – darmową kuchnię oraz stancje, a w soboty – zamiast

sobie odpocząć, przyjmował tych, którzy mieli jakieś kłopoty. Jednym z jego podopiecznych był późniejszy prezydent Rzeczypospolitej na obczyźnie, Władysław Raczkiewicz.

Nic więc dziwnego, że nie tylko jako kuzyn, ale i opiekun młodzieży chciał coś wreszcie z synem wuja Stacha zrobić, czuł się za niego podwójnie odpowiedzialny. I co nie mniej ważne – miał go szczerze dość, chciał się go już pozbyć z domu. Tym bardziej też że naciskali i Witkiewiczowie – pisali, błagali, żeby ratował Stasia, robił dla niego wszystko, co w jego mocy.

Czyż mógł jednak pozwolić, żeby poszedł do wojska jako zwykły rekrut i zaraz gdzieś zginął? Witkiewiczowie nigdy by mu tego nie wybaczyli. Użył więc swoich wpływów, aby jak najszybciej umieścić go w przyspieszonej szkole oficerskiej, prowadzącej do najświetniejszego, zakwaterowanego przy pałacu, cesarskiego pułku Jego Wielicestwa Mikołaja Wtorogo.

Prawdę mówiąc, większość związanych z tym spraw załatwiała mama, a musiała na przykład udokumentować szlacheckie pochodzenie Witkiewiczów od kilkunastu chyba pokoleń. Lecz tak jak nikt umiała rozmawiać z Rosjanami, którzy po prostu się jej bali. Nie bez powodu nazywano ją stukonnym motorem – umiała krzyknąć, zrugać, postraszyć. Rosyjski znała *blestiaszczo*, miała litewski upór, odwagę, może nawet bezwzględność, babski spryt. A przede wszystkim wielkopański wygląd – urodę, figurę, wdzięk. – Ada Bożeniec-Jałowiecka-Żukowska, księżniczka na Perejasławiu – przedstawiała się, gdy chciała coś załatwić albo zrobić tylko wrażenie. Syn wuja Stacha zawsze mówił do niej „kniaziówno”, choć tak naprawdę Jałowieccy,

mimo że znaczni, bogaci i kiedyś podobno rzeczywiście z dobrami na Ukrainie – na Perejasławiu nie mieli tytułów książęcych. Ale naturalnie snobowali się, szczególnie dziadunio, który miękł zupełnie, gdy nazywano go kniazem Bolesławem Bolesławowiczem.

Gdy wszystko załatwiła i dostał się do szkoły, potem do pułku – wybuchła awantura! Rodzina „z Polski” miała żal i pretensje – stosunki wyraźnie się ochłodziły. Obraziła się nawet poczciwa ciocia Żeni, choć też była przecież „z Pitra”, ale najbardziej chyba nienawidziła Moskali – jako małą dziewczynkę zesłano ją z rodzicami oraz rodzeństwem na Syberię i nieustannie zanudzała opowieściami na ten temat, na przykład o panującym tam takim mrozie, że gdy dotykała kłamki, schodziła jej skóra z rąk.

Uznano, że to wstyd i hańba – Witkiewicz, syn Stanisława, w carskim pułku, pod carskim sztandarem! Wuj Stach liczył podobno, że mimo wojny i frontu jego syn – przy pomocy mamy i Gradzika – wydostanie się jakoś z Rosji i wstąpi do Legionów wuja Ziuka. Bo choć na Litwie niemal wszyscy byli spokrewnieni czy skoligaceni, to w tym wypadku rzeczywiście. Na przykład babka wuja Stacha – Elwira z Szemiothów – była siostrą Marii Billewiczowej, babki Ziuka, który, jako że sporo młodszy, tytułował wuja Stacha Wujaszkiem.

Uznano, że to mama i Gradzik wepchnęli syna wuja Stacha do carskiego pułku, zamiast użyć swoich wpływów i pieniędzy na przemycenie go do Polski. Wyperswadowanie mu jego decyzji i zamiarów.

A przecież chcieli dla niego jak najlepiej; umieścili w najświetniejszym miejscu, jakim tylko mogli. I być może uratowali życie, bo jako zwykły żołdat poszedłby zaraz na front i zginął, nie wiadomo nawet gdzie. Jako oficer elitarnego, oszczędzanego jednak pułku, był natomiast bezpieczniejszy. A czy – znając jego charakterek – mogli mu cokolwiek wyperswadować? Sam, na ochotnika – bo jedynaków zwalniano w Rosji z wojska – chciał się bić u boku cara, a nie wujka Ziuka, jak życzył sobie jego tatuś.

Ostentacyjnie przecież podkreślał, że ma odmienne od niego poglądy. Drwił z „naftaliny”, z której się wreszcie uwolnił, tradycji, w której go wychowano. Powtarzał, że jest Polakiem, ale z szaleńcami, powstańcami nie ma nic wspólnego. Śmiał się, gdy dziadunio i Gradzik radzili mu napisać coś o rodzinnych tradycjach – dziadku i braciach jego ojca, buntowszczykach, miatieżnikach, czyli powstańcach, albo też słynnym polskim Wallenrodzie – stryju Janie Witkiewiczu. Pisało o nim wielu, tylko nie on; krewny przecież! Wołał swoje „Upadki Bunga” czy „Pożegnanie jesieni”, przez które – chyba nie tylko generałowa – przebrnąć nie mogła. Na portrecie, do którego pozowała mu w swojej najlepszej, aksamitnej sukience z białym kołnierzykiem, dorysował jej nad głowę dwa diabełki i mama nie chciała nawet trzymać tego paskudztwa w domu, gdzieś je wyrzuciła.

Tak że i dziaduniowie Jałowieccy, i Gradzik – mama go jednak broniła – współczuli wujowi Stachowi, że ma tak nieudanego syna, który do pięt mu nie dorasta. Ananasa urodzonego chyba pod złą gwiazdą. Bóg dał mu przecież wiele; wszystkie karty: zdrowie, urodę, wybitne zdolności, kochających, choć niezamożnych rodziców. Mimo to zmarnował się,

wykoleił. Bo czyż normalny człowiek przyznaje się do peyotłów i kokain? Wypisuje bzdury, które, przynajmniej w tamtych czasach, były czystą pornografią?

Czuł oczywiście niechęć Gradzika, tak że – już jako carski oficer – rzadko do nich wpadał. Czasem jednak przychodził – elegancki i szykowny, w wyjściowym mundurze przypominającym – jej zdaniem – mundury naszych huzarów z okresu Księstwa Warszawskiego. Opowiadał, że są przy „samym carze”, że to pułk elitarny, głównie dla tych *iz znati*, to znaczy arystokracji – wśród jego kolegów znajdował się między innymi młody książę Lwow, ze starej rosyjskiej rodziny, którego ojciec był z Gradzikiem w Dumie. Choć przyjmowano również i ostatnich *dworian*, z tym że dokładnie wyselekcjonowanych; „samych wybieranych” – wysokich, przystojnych, postawnych i urodziwych – byli pułkiem reprezentacyjnym.

Mimo to stosowano tam kary fizyczne. Nawet i sto pałek po plecach i „szynkach”, raz nawet zdjął koszulę, zaprezentował ślady. Lecz oczywiście mieli też, jako pawłowcy, wiele przywilejów, na przykład prawo do posiadania nieograniczonej ilości alkoholu, z czego naturalnie korzystali.

Mogli również – tak się przynajmniej przechwalał – organizować czasem „papojki” w salach sąsiadującego z koszarami Zimowego Dworca. I jak to on, o tym tylko opowiadał – o hulankach, bankietach, pojedynkach z powodu jakichś wydr.

*Joanna Siedlecka*

*Fragment książki Mahatma Witkac. Publikujemy za uprzejmą zgodą autorki*

\*\*\*

[1] Zmarła 11.01.1993 r.

[2] W „Niemytych duszach”, wspominając „krewnych w Pitrze”, Witkacy pisał: *Na tym miejscu muszę wyrazić wdzięczność (zamiast w gazecie) mojej ciotecznej siostrze, Jadwidze Jałowieckiej, I voto Żukowskiej, II voto Lipkowskiej, która z tej całej rodziny zaopiekowała się mną po różnych strasznych przejściach i powrocie z Australii.*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego